2. Lutego. Nr. 14. 1868 roku.

Wychodzi w niedzielę, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.
Cena:
kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „
Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni Kornela Pillera.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

Różnie myślał kozak, ale że rybom pójdzie na strawne — w dumce mu nie powstało... A kozactwo? a Handzia sinooka?... Jak się rzuci w prawo, w lewo — uderzył się o coś łbem — patrzy: czajka — dalej że do łodzi! Już był bezpiecznym, słucha: coś się obok pluchocze — kozak.. Żal duszy chrześcijańskiej — buch! znowu do wody; porwał tonącego za czuprynę, dopłynął czajki; sam wylazł i kozaka wysadził; zaczyna go tormosić... Odlała się woda z topielca, księżyc niby umyślnie oświecił jego twarz ... *Propad ty!* — wroga sobie wyciągnął kozak — uratował Hnata...

Nu, szczęście! czterdziestu upadło do wody, a ten z nich wszystkich tylko wroga wyciągnął... Ot dola!

A i Hnatowi niedobrze się zrobiło. Jakże teraz dziękować wrogowi, że go wyciągnął z wody?..

— Kto cię prosi! — wykrzyknął, i na równe zrywa się nogi... a tu go ktoś wiosłem pociągnął po grzbiecie. Patrzy kozak — Koszowy!

— Cyt, *sobako!* bo Turków naprowadzisz... *Poodno!* — dał rozkaz, i czajki rozsypały się po morzu... Teraz już im djabeł nic nie zrobi!...

Nie było wielkiego licha: kula przewróciła czajkę, mołojcy napili się morskiej wody; ale wszyscy, żywi, znowu zeszli się do łodzi — a sprawują się cicho, bo tak nakazał Koszowy.

Siwa głowa — tam rozumu u niego za cały Kosz, jeżeli nie więcej! — miarkuje teraz: jaką by pohańcom uciąć sztukę, ale tak co się zowie po kozacku!

— Ha, jest dobry sposób; ale czort wie jak tu zrobić... Okręt na strzał harmatni — można by mu przypiec szczeciny, gdyby się chwat znalazł, i do n o s a wpakował mu t a b a k i...

— A jakby to zrobić? — nieśmiało zapytał Hnat, który już przyszedł był do siebie, i słuchał mowy Koszowego.

— Nie twoim rozumem — odmruknął przewódzca kozaków.

— A jakby moim?...

— A nu! przepłyniesz do korabiu?

— Przepłynę.

— B r e s z e s z!

— Sprobujcie, bat'ku! to się pokaże.

— A nu! Ot tu sznur — podajcie chłopcy — zaczep go za nos okrętu tak, żeby nie widzieli, i powracaj z nim nazad... Ale cię bies i do okrętu nie dopuści — drogi kawał dobry, a trzeba płynąć pod wodą...

— Sprobuję! Nie miłe mi życie z wrogiem na jednej desce; lepiej w morzu. *Buwajte zdorowi!*

Wypatrzyli się kozacy — a z Hnata tylko bulki na wodzie... i sznur się posuwa — znak, że kozak płynie...

— *Czortowa dytyna!* — mruknął Koszowy. — Wart być kozakiem, jeżeli dokaże sztuki! Sznur idzie... no-no! k o z à k — t a k - t à k!

Koszowy z uwagą patrzy na wysuwający się z łodzi sznur; niekiedy spojrzał w jego kierunku, jakby okiem mierząc odległość...

— *Pomynajte duszu!* — rzekł po chwili. — Sznur się nie rusza; czort wziął kozaka — a szkoda!

Dmytro mimowolnie przeżegnał się. Grzech — a lżej mu się zrobiło, że pozbył się wroga...

— Idzie! jeszcze idzie! — wykrzyknął w tej chwili Koszowy. — To chyba bies ciągnie, bo czemu by kozak tak długo spoczywał pod wodą?... *Abo pało, abo propało...* tu już nikt nie zgadnie! — I znowu zamilkł.

Ubiegło dobrych kilka minut. Żyje Hnat, czy nie żyje?

Dmytro ciekawie wyjrzał z czajki.

— Chyba go czort ustrzeże na moje *bezhołowle!* Niechby... Tfu! przez tego holtiapakę grzech na duszę biorę. *Wo imia Otcia i Syna..*

— *Amiń!* — odpowiedział mu głos w pobliżu: Hnat, żywy Hnat wszedł do łódki Koszowego...

Wszyscy aż krzyknęli, zobaczywszy go na oczy.

— *Mołojcze! ridnyj synu!* — porwał go w swoje objęcia Koszowy. — Uchował cię *did'ko!* A cóż ze sznurem?

— Ot drugi koniec...

— *Czortowa dytyno!* ciebie tu *Hospod'* sprowadził na sławę kozactwa! A co to za krew na czole?

— *Durnycia!* Turek zdrzemał się na straży, a zanim go wyprawiłem do piekła udrapnął kindżałem — przyschnie...

— *Pylno!* — dał sygnał Koszowy. — Gdy się zacznie okręt palić — z Bohom *na prystup! Bohorodycia* z nami!

Niemieckiej sztuki zażył Koszowy z Turkami! Rzecz niezwyczajna, a znał się z ogniami, niby z masną kaszą, i nieraz wyrabiał takie sztuki, że dziwo! Ot i teraz nie ubiegło ćwierć godziny, a źle było z Turkami... Koszowy do sznura uwiązał jakiegoś *did'ka*, który wielkim wybuchnął ogniem u samego nosa okrętu, i objął go płomieniem.

Biesowska tabaka Koszowego! Przyszło od niej nielada kichnąć bisurmanom; a kozacy jak nie krzykną: *Zdorowo!* i dalej pod okręt — niby z morza wyszli.

Turcy nie wiedzą: czy okręt gasić, czy bronić się od kozaków, którzy jak raki uczepili się boków okrętu, i na pokład leżą... Rzucili się tu i tu — nie pomogło! Hołota już na pokładzie, i siecze wrogów na kapustę.

Ałłach! — wrzasnęli bisurmanie; rzucają broń przed zwycięzcami, i w myszą chowają się dziurę...

Krótko było po wszystkiemu! Zawzięte kozactwo nie oszczędziło nikogo! Co było pohańskiego mięsa — poszło na jatki!... hołota czasu nie tracąc zabiera dobytek.

A nie ten to Dmytro, żeby nie myślał o sobie. Kto bierze złoto, zbroje, makaty — a on dał nurka pomiędzy składy, i szuka — termołamy!...

Nie wiele było potrzeba, ażeby się doszukał śmierci.

— Do czajek! — huknął Koszowy, — bo ogień do prochów dochodzi!...

Groźne słowo. Kto żyw go słucha, bo z prochem żartów nie ma! Kozacy jak mogą najprędzej wsiadają do łodzi.

Hnat widzi, że Dmytro nie wyszedł ze składów... Wroga by się teraz pozbyć — to plunąć! ale mu winien życie... Nie namyślał się długo: choć ogień zajmuje już połowę okrętu i lada chwila rozsadzi go na części — kozak jednym skokiem wpada na schody.

Siroma Dmytro nie mógł pociemku doszukać się termołamy... chwycił oberemek rozmaitych materyj; sapie, a niesie — pomiędzy niemi pewno jest ta przeklęta!... Ani się opatrzył, a tu go Hnat chwyta za karczyło... Kozakowi żal materji, a pokazał by mu jak zażywać zdrady!...

Hnat nie wchodzi w rosprawy; dźwignął Dmytra pod siłę, i jak piłkę ciska do odpływającej czajki, a sam buch! do wody... dopędził i siada przy innych...

Oszołomiony Dmytro chwilę nie mógł przyjść do siebie; wreszcie porywa się niby orzeł, i chciał rzucić się na wroga; w tem zakipiało morze, rozwarło się — huk taki, jakby świat pękł na czworo — czajki rozleciały się po morzu...

Hnat wskazał ręką na okręt.

— Nie dłużny! — mruknął.

Otworzyły się oczy Dmytrowi.

— *Czortiw syn!* — wycedził przez zęby, i usiadł na miejsce.

Tylko bulki zostały z tureckiego korabiu — a czajki popłynęły dalej.

Koszowy kręci wąsa — rad, że mu się udała sztuka; mołojcy patrzą: czy daleko jeszcze do Carogrodu? a Hnat i Dmytro zachmurzeni siedzą obok siebie, przeklinają dolę, że z wrogiem rozłączyć nie chce.

— Lżej mi było prochem wylecieć w niebo, aniżeli tu patrzeć na tego biesa... — myśli ponury Dmytro. — Nu, dola sobacza! że się ja tego czorta pozbyć nie mogę!

— Niechby mię już pożarła ryba, czem miał wyratować ten... — nie kończy Hnat, patrząc przed siebie.. A czajki mkną jak strzały!

„Czorne more, synie more —
Kozackyje more!
Czy na radiśt' zaczorniło,
Czy na nasze hore?“

Kto wie!... Czajki płyną, dumka kozacza szybki lot ich wyprzedza. *Hraj more!* płyniemy do Carogrodu!

„A w tureckoho sułtana wysoki kimnaty,
W Carhorodi bazar wełyk — je do pohulaty!
U choromach krasawyci — sami pyszni krali.
„Ta wytajte kozaczeńky! — my was dożydały!“

Sto innych pieśni jeszcze brzmi w duszy kozaczej; wyrwać by się chciały, i głosem z piersi popłynąć... Ta-ba! r a d a b y d u s z a d o r a j u... Wola Koszowego zamknęła gębę kozactwu... Dopiero, gdy w mołodczej ręce błyśnie szabla — wtedy i piersi lżej będzie!... Marudna robota — pływanie!

Znana rzecz, że Bohorodycia lubiła kozaków, jak rodzone dzieci — bo gdzie jej było lepiej niż na Siczy Zaporozkiej?... Kozak nie zawsze wiedział co tam w niebie, i duszę ważył nie więcej, jak bujną głowę — ale co do cześci dla Bohorodycy — nie było mu równego! Kamienna podłoga cerkwi koszowej powytłukana — czubami kozackiemi w pokłonach!... a co tam pereł, złota, kamienia drogiego — do Kijowa wysiałbyś tem drogę, i jeszcze dosyć zostanie... Lubiłaż za to Preczysta wierne jej kozactwo, i — choć jak się srożył — a zawsze wyprosiła u Spasa porady dla holtiapaków.

Ot i teraz: wiatr, niby się zaprzągł, dmie w płótna czajek, że wiosła poodstawiali; a choć słońcu dawno na wstawanie — gruba mgła okrywa świat cały, że do komnat sułtańskich wejdziesz, nie to do Carogrodu.

Koszowy wie, że droga bliska. Rad z ciemnej mgły, układa plan napadu, i kręci długie wąsy.

Oj, te wąsy atamańskie! nie małe licho wróżą dla tureckiego cara....

Do łódki Koszowego weszło dwóch kurennych: Taraneć — kiedy znacie — i Harasym Szwydki; przyszli na poradę.

Taj rada tam mądra, że jej wyjść tylko z głowy atamańskiej i myśleć o kozactwie!

Postanowiono: w szuwarach na brzegu azjatyckim ukryć łodzie, przesiedzieć do nocy, a z pierwszą gwiazdą p r z y p i e c T u r k o m g r z a n k i! zaszedłszy z tyłu, ażeby lepiej dopiekło!...

Ośmdziesięciu ma pilnować łodzi; sotnia mołdzców niechaj wantaży dobytek; a reszta, pod przewodem Koszowego i dwóch atamanów, pokaże co umie w Skutari!

Za minutę wiedziało kozactwo o postanowieniu Starszyzny — i radość tam, że z biedą powstrzymać się mogą, by nie wykrzyknąć z pełnej piersi: *Huraha! sława Bohu!* i wyrzucić w górę czapkami, choćby powpadały do morza... U turków dla siczowych znajdą się czapki lepsze!...

Tylko jedno kozakom hore: kto zostanie w łodzi? kto pójdzie na posługi?... Z nich każdemu chciałoby się pobywać w tureckiem mieście, pohulać z pohańcami...

Byłoż tam modlitwy, że kozak za cały rok tego nie namodlił... Siczowik, o jakim świętym tylko zasłyszał, każdemu obiecywał świecę, żeby mu tylko wyprosił u starszyzny pójście na swobodę, na pohulanie w mieście z turkami.... Spodoba świeczkę prepodobny — wysłucha; nie spodoba — *propało!...*

— *Dopomożу światyj Mykoło!* — woła kozak jeden z drugim; a jak się nie modl — ktoś zostać musi... ot w tym i hore kozaków!

Wzięto się do grzanek ze słoniną, wypito po czarce wódki — do wioseł! W największej ciszy podpływają czajki do brzegu. Przodem wysłana na wywiady czajka kurennego Tarancia dobrze wskazuje drogę... już niedługo do kozackiego wesela, niedługo do rosprawy z pohańcem!

(C. d. n.)

Po śmierci.

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

PIOTR (*podchodzi i serdecznie.*)
Ej, bo coś mi pan naprawdę czmuci?...
Fe, dalipan żałośny!... mię to bardzo smuci
Gdy pana widzę t a k i m... Gdzie smutek — a aktor?...

WALERY (*z bolesnym uśmiechem.*)
Pochlebca!...

PIOTR.
Ot, ja sobie już ćwierćwieczny faktor
Tego stanu, i muszę z nim być już do grobu...
Jak osioł wzwyczajony do jednego żłobu,
Nie kwapię się już nawet za wonniejszem sianem.
Kto czyim — moim tylko aktor będzie panem!...
Więc też znam ja już dobrze, dobrze s w o i c h l u d z i:
Przy takim panu człowiek nigdy się nie znudzi,
Mówi do cię — i jakby czytał z jakiej roli —
Gdy łaje — możesz przysiądz, że tylko swywoli,
A już o smutku jego człowiek nie zamarzy —
Po prawdzie, smutek jemu nawet nie do twarzy!
I kiedy ujrzę czasem... ot, jakby w tej chwili
Mego pana — to myślę, że mię oko myli,
Że to nie ten sam pan mój... Gdzież humor? gdzie wena?...
Lecz wszystko dobrze będzie! Najprzód: wiwat scena!
A potem pomyślimy nad zgubą Krezusa...

WALERY.
Poczciwy!... Coż byś myślał?

PIOTR (*myśląc przedsiębiorczo.*)
A gdyby psikusa
Jakiego mu wypłatać, sążnistego?

WALERY.
Na nic!
Jego złoto możniejsze od wszystkich szatanic
I szatanów - -

PIOTR.
A biesy! użyczcie mi rogów?...

WALERY.
Widzisz, to nie tak łatwo —

PIOTR.
Do miljon prologów!
I ta śliczna Stasieńka...

WALERY.
Oh, oh, jego żona!

PIOTR.
Ho, to pytanie! hola!... choćbym miał Mamona...
(*kończy gestem*)
Nie dopuszczę!... Co? w łapy tego...

WALERY.
Podagrzysty!

PIOTR.
Tego złotorogiego Apisa?...

WALERY.
Tej glisty
Z żółtem sercem w monoklu?...

PIOTR.
Lub w złotym guziku!
A, poczekaj no Waćpan!...

WALERY.
Stój hipochondryku!

PIOTR (*sroży się.*)
Patrzcie, on tylko siebie chce widzieć brylantem!

WALERY.
Musi być egoistą —

PIOTR.
I kutwą!...

WALERY.
Pedantem!

PIOTR.
I on miałby aniołka tego?...

WALERY.
Moją Stasię
Kochaną?!...

PIOTR.
Stój łupieżco!

WALERY.
Bandyto! a zasię!...

PIOTR.
Bah! lecz tu trzeba radzić, radzić przedewszystkiem
Jakby najlepiej było uporać się z chłystkiem?...

WALERY.
Tak, tak! więc radźmy, radźmy jak się pozbyć łotra...

PIOTR.
No — a gdyby naprzykład napędzić mu p i o t r a?...

WALERY.
Pietrze, tyś zawsze p i o t r e m!...

PIOTR.
No, no — myślę: b o j a...

WALERY.
Ale coż to pomoże nam?...
(*wbiega Stasia przesłonięta chustką, i trwożnie ogląda się za siebie.*)

PIOTR (*ujrzawszy Stasię.*)
Masz!

Scena II.

DAWNI, STASIA.

WALERY (*podbiegając ku przybyłej.*)
Stasio moja!...

STASIA (*biorąc go drżąco za rękę.*)
Walery!...

PIOTR (*odchodząc w głąb' pokoju.*)
Masz ci! widno, pojętna dziewczynka.

WALERY.
Lecz ty Stasieczko moja drżysz — a smutna minka
Coś niedobrego wróży?... O, czemuż tak trwożnie
Na drzwi spoglądasz? droga!

STASIA.
Nic — nic!... To bezbożnie
Było bardzo, lecz nie chciej mię już pytać dalej!...
Jam ci została wierną... masz mię!... Choć badali
I namawiali prożbą, wyrzuty i drwiny:
Ja ci zostałam wierną... Tyś pan mój — jedyny!

WALERY.
Biedna moja! o, jakżeż zdołam ci odwdzięczyć
Miłość twoją?... Wiem, wiem to — musiano cię dręczyć? —
Wiem — i stosunek ze mną robiono ołowiem
Twojej sławie?!...

STASIA.
O, nic to!... Lecz ja ci opowiem
Całe zajście fatalne, a ty już koniecznie
Zajmij się mną — bo z tobą tylko żyć mi wiecznie!

WALERY (*tuląc ją.*)
O wiecznie!...

PIOTR (*do siebie.*)
To wyraźnie wypadło im z roli...

STASIA.
Słuchaj! dziś na dobitek tej naszej niedoli
Pan baron mej decyzji zażądał ostatniej.
Straszna to była chwila — ile, że do matni
Naszych losów przybyła jeszcze wola papy,
Który bardzo pokochał lokajów harcapy
Baronowskich, i piękny herb na ekwipażu —
A skłaniając mię bardzo do tego marjażu
Oświadczył najdobitniej, że choćby wbrew własnej
Woli zostanę żoną barona..:

PIOTR (*n. s.*)
O jasny
Drabie!...

WALERY.
I cóż, cóż dalej?

STASIA.
Nie było sposobu:
Wyjawiłam mu wszystko, wołając: do grobu
Wy mnie raczej skłonicie niż na takie śluby —
Jedno jest życie moje i jeden mój luby,
Jedno szczęście co dla mnie z świata się wynurza —
Walery!...

WALERY (*całując jej rękę z zapałem.*)
Ha!...

STASIA.
Okropna zerwała się burza
Nad biedną głową moją: — papa w niebogłosy
Krzyczał jakby w gorączce i rwał sobie włosy —
Wszystko struchlało jakby na widok upiora,
A papa łamiąc ręce pojękał: „aktora!...“

WALERY (*z gorzkim uśmiechem.*)
Ha, ha!... (*po chwili boleśnie.*)
I tyś o miła, tyle dla mnie zniosła?
Tyle goryczy?

PIOTR (*n. s. gniewny.*)
Patrzcie-no starego osła!...

STASIA (*z najwyższą czułością.*)
Dla ciebie mój kochany? O, choćby stokrotnie
Tyle mi znieść wypadło — i bardziej sromotnie
Przyszło wydać się oczom niespłukanym w niebie:
To ja bym nie zaparła mej miłości — ciebie!

WALERY.
O, tegom ja nie godny...

PIOTR (*n. s.*)
Dziewczysko poczciwe!

STASIA.
Jednak... przyszło te słowa, może nieco żywe,
Odpłakać bardzo ciężko...

WALERY (*z zapałem.*)
Przezemnie! przezemnie!

STASIA (*oglądając się na drzwi.*)
Teraz zbiegłam do ciebie tu miły! tajemnie...
Oddano mię pod ścisły nadzór guwernanty —
Łzami, kupiłam chwilę...

WALERY.
Drogiemi brylanty
Kupiłaś!

STASIA.
Lecz dla ciebie! dla ciebie mój drogi!...

WALERY.
Ach, w obec takich ofiar jakżem ja ubogi!
Jak ty mi poczuć dałaś mą duszę poślednią!

STASIA.
Dość! o, dość! czy ty chciałeś mieć miłość wybredną?...
Miłość, jak słup promieni powinna być prosta,
Serce wziąwszy za słońce.

PIOTR (*n. s.*)
To jest „prosto z mosta!...“
Dalipan, mądre dziewczę!

WALERY (*wpatrzony w jej oczy, pieściwie.*)
W oczach twoich, miła,
Leży taka prostoty niepomierna siła,
Że ust twoich nie słysząc można w nich wyczytać
Myśli twoje... Ty wzdychasz?... O, pozwól więc spytać:
Ile nam pozostało nadziei? — gdzie szukać
Gwiazdy naszej?...

STASIA (*smutno.*)
My biedni!... Wprawdzie przestał fukać
Papa, lecz owszem ciągle trwają jeszcze fochy —
A nic też nie pomogły i prożby i szlochy;
Nakoniec mi oświadczył jako rzecz skończoną:
Że muszę b a r o n o w ą zostać... tak jest, żoną
Barona.

WALERY.
Co ty mówisz!...

PIOTR (*n. s.*)
To jakiś wisielec!...

STASIA.
Ty wiesz, że już za dwa dni nadejdzie popielec...
Więc jeszcze i ten pośpiech... Boże! na pojutrze
Naznaczono...

PIOTR (*zżymając się.*)
Zjesz pierwej djabła, stary lutrze!...

WALERY (*zamyślony.*)
Pojutrze?... więc nam trzeba działać! ani chwili
Nie mamy do stracenia...

PIOTR (*stając przed niemi, z ukłonem.*)
Cóżbyście radzili
Uczynić, moje państwo? Stoję na usługi...
Co do mnie: — pominąwszy ceremonjał długi,
Radziłbym — ot, poprostu — nie zważając jędzy,
Udać się krytym koczem — i to jak najprędzej —
Do pierwszego lepszego co ma władzę stuły,
A zbywszy po zwyczaju ten obrządek czuły
Obdarzyć kawalera i tatusia — figą...

STASIA.
Nie, nie! ja nie chcę szczęścia zdobywać intrygą.
Zresztą, mój ojciec nie jest w istocie tak srogi,
Jakby się to zdawało... „Za wysokie progi“
Nie jest jego zasadą, lecz raczej obłędem —
Nie złą wiarą, lecz bardziej wyuzdanym względem
Którego wziął z swych czasów... człowiek starej daty!...
Ani słowa już o tem! nie chcę podejść taty —
Czyliż nie można znaleźć już radę godziwszą?
On jej godzien — on serce ma!

WALERY.
Mam myśl szczęśliwszą...
Cóż? gdybyśmy tak razem...

STASIA.
Ach, uchowaj Boże!
To byłoby za wcześnie... Mówił: — o aktorze
Nie chce i słówka więcej już słyszeć odemnie —
Nie pora na ten środek... Daremnie, daremnie!
Wszak lepiej już nie drażnić bardziej...
(*żebrząco do Walerego, który zposępniał podczas ostatniego wypowiadania.*)
O mój drogi!
Tyś posmutniał?... Ach, wybacz jemu — mnie ubogiej
Wybacz, że jestem echem jego słów zelżywych!

WALERY (*przed siebie, smutno*)
O świecie, pełen jeszcze wyobrażeń krzywych!
Kiedyż te drożdże pojęć nareszcie dokisną?...
O, to boleśnie! do ócz gwałtem łzy się cisną...
O!... to smutno...

STASIA.
Walerku!...

PIOTR.
Cóż-bo pan znów kwili?...
To nie ładnie!... dalipan, brzydko!... Do tej chwili
Miałem pana aktorem — teraz zwykły człowiek!...
Ej! corychlej ocieraj pan to morze z powiek,
Bo nie możesz popatrzyć nawet na panienkę...
Któż-bo widział?...

STASIA (*ocierając chustką łzy Waleremu.*)
Najdroższy!...

WALERY (*przyciska jej rękę do serca i całuje z zapałem.*)
Anioł złoty!... Rękę,
Rękę twoję najlepszą!...

PIOTR.
I... dość już czułostek!
Lepiej nam myśleć warto, jakby rzucić mostek
Przez przepaść, co rozdziela papę od aktora —
Wszak ci to z tej miłości wciąż jak szydło z wora
Wyłazi!... Na frasunek dobry też i humor:
Smutek — won! śmiać się, śmiać się — a choćby na umór,
To może w dobrej myśli znajdzie się i rada —
A jeśli się śmiać chcemy, to niech pan wybada
Panienkę, co to papa mówił o s c e n a r z a c h,
I będzie źródło śmiechu!... Ot, widzę na twarzach
Ucieszenie.. Niech serce przesądom nie przeczy!
Uśmiechem zbyć należy właśnie takie rzeczy,
Co nie wyszły z złośliwych serc, lecz z jakichś mętów.
Cieszymy się więc!... Panienka zaś, bez żadnych wstrętów
Raczy nam opowiedzieć tę opinją papy
O aktorach... (C. d. n.)

PIERWSZA MIŁOŚĆ KORREPETYTORA.

Luźne kartki zebrane
przez
AURELEGO URBAŃSKIEGO.

VI.

Noc przepędziłem bardzo niespokojnie; ciągle układały mi się proporcje z samych oczek panny Barbary. Zbudziwszy się ustawiłem następujące zrównanie: Jeżeli papa wice-burmistrz nie ubił mnie na wstępie, jeżeli panna Barbara przez trzy godziny słuchała uważnie mojej uczonej perory, jeżeli nos pana Chrapiełły ma się do jego usposobienia, jak niegrzeczność Wichrowicza do mojego postępowania — ile par nankinowych pantalonów zedrzeć jeszcze muszę, by otrzymać rękę kochanej panny Barbary? Ubierając się, myślałem nad rozwiązaniem. Lecz nim to uskuteczniłem... Cicho...

Ktoś puka... Milczę... ›Herein‹ nie używam nigdy... Ojciec algebry Pitagores i uczony Mocnik musieli milczeć, gdy kto pukał do ich mieszkania; milczenie bowiem jest oznaką mądrości, a ojciec Pitagores i wielki Mocnik byli bardzo mądrzy...

Zatem milczę...

Mimo to wchodzi — kto? Wice-burmistrz? Nie... on by się nie wydrapał na mój stryszek... Jacuś? także nie..., jego byłbym poznał po chodzie, który na schodach podobny był rzędowi nierównych ułomków... Więc panna Barbara? — Przenigdy!... kobieca noga nie postała jeszcze za moim progiem, prócz starej Katarzyny, która mi nosi mleko na śniadanie... — Więc kto? — Nikt nie zgadnie! Oto pan Rajmund, Zefiryn, dwojga imion Wichrowicz.

Osłupiałem...

Lecz co powiecie na to?... Przeklęty wiercipięta, jakby był u siebie, biega po mojej stancji w kapeluszu! Chcę mu podać krzesło... już siedzi na mojem łóżku... chcę odsunąć stolik... już przewraca na nim wszystko do góry nogami... chcę odłożyć cenne moje studja matematyczne... już wywraca na nie kałamarz, zlewa mi podłogę atramentem, wala sobie nosek lakierka i ociera go w moje prześcieradło... chcę go spytać: czego sobie życzy? — już sam zaczyna:

— Jak się masz, bratku!

Mówi do mnie — ty.

— Kochasiu — daj się ucałować!

I dałem się ucałować, bo Wichrowicz silniejszy odemnie.

— Byłeś w Przecznicach, odwidziłeś wice-burmistrza, widziałeś pannę Barbarę? Cóż Basia? — (On ją Basią nazywa!) Mówże raz!!

Zbladłem...

— Mówże do stu tysięcy... — i urwał, ale kułak jego ustawił się *vis-à-vis* mego nosa...

Milczę...

— Ależ ja wiem wszystko wybornie. Mówiła mi adjunktowa Piórkiewiczowa, twoja ciotka. Zresztą dobrze zrobiłeś, żeś tam poszedł — i ja byłbym zrobił to samo, gdyby nie przeklęta kancelarja!

Odetchnałem... on powiedział, żem dobrze zrobił.

— Ale!...

Mój Boże — jest jakieś a l e...

— Mógłbyś zrobić wielką przysługę Basi.

Ja?... Pannie Barbarze?... Pokraśniałem... Uśmiechnął się...

— Oto jest liścik od mojej siostry Tekluni, która jest we Lwowie na pensji; wiesz, że są w przyjaźni. — Sam nie mogę, więc ty go zanieś Basi. — Ale zaraz jutro... Słuchaj, zaraz jutro. Zresztą, jesteś nadto uczynnym, ażebyś damom tak małej nie wyrządził przysługi... Gdybyś zaś miał być takim wołem i wahał się, to się pogniewamy. — Słuchaj: pogniewamy!

Wsunął mi list do kieszeni. Porywa mnie w szalony, karkołomny uścisk. Pocałować mnie w oba policzki aż do spuchnięcia, i nastąpić na najdrażliwszy mój nagniotek u małego palca lewej nogi *ut supra* było dziełem jednej chwili.

I wyleciał.

»Be, or not to be«?... Pójść czy nie pójść?... Człowiek nie na to stworzony, by nosił cudze listy, a jeżeli są ludzie co noszą cudze listy, czynią to jako listonosze, a nie jako ludzie.

Be, or not to be. Thit is question!

Całkiem naturalnie, że pójdę; gdyż *primo*, sama panna Barbara powiedziała mi: ›Odwiedź-że nas pan prędko, panie Szczęsny;‹ *secundo*, bo byłbym wołem — ale nie, cóż to złego? wół to symbol pracowitości, a ja jestem bardzo pracowity; lecz *tertio*, to co innego: ›bo się pogniewamy‹ — a na co ja mam się pogniewać z Wichrowiczem? — Zresztą, żeby to był list od niego — ale od Tekluni ze Lwowa?... hm... Albo, żeby to był liścik różowy, pachniący — ale taki *simple*, i biały?... hm... W końcu, żeby tam stało: ›Do lubych rączek Wielmożnej Imci Panny Barbary de Chrapiełło, wice-burmistrzanki, etc... etc...‹ ale podobny adres, jak: ›Kochanej Basi mojej, w Przecznicach‹?... hm... Wprawdzie nie ma marki pocztowej, ale list może przyszedł w drugim, do Wichrowicza; prawda i to, że charakter pisma nie kobiecy, ale przecież są kobiety z męzkim charakterem, jak mężczyźni z kobiecym; ale to nie mężczyźni! to ludzie bez charakteru, bez cywilnej odwagi, prawdziwie nijakie stworzenia!... Czemu to ja zawsze męzki zdradzam charakter, bo kultywuję matematykę, a kobiety na logarytmach się nie znają!... Nie znam Tekluni — może ona zresztą i kreśli takie *B* wielkie z potężnym i okrągłym brzuszkiem!...

Mamy się pogniewać?... Wichrowicz jest silniejszym... Pójdę.

VII.

I byłem w Przecznicach... i oddałem list...

I panna Barbara pokraśniała... i przeczytała... i znowu pokraśniała... i znowu czytała... i dziękowała mi czule...

I nazwała mnie grzecznym młodzieńcem...

A gdy potem na chwilę, znikła zostawiając mnie z papą i braciszkiem, który zaraz przystąpił do operacji mojego ostatniego guzika, wróciwszy siedziała jak na szpilkach... Ba! wszak tym razem usiadłem frontem do niej, a tyłem do wice-burmistrza, i mówiłem długo, długo o Tekluni, co kreśli wielkie *B* z potężnym brzuszkiem, i patrzyłem jej czule w oczy...

Odchodząc spojrzała na mnie, potem ja spojrzałem na nią, poczem znowu ona spojrzała na mnie... I poszedłem...

Za leśniczówką dogonił mnie Jacuś, i oddał mi odpowiedź do Tekluni na ręce Wichrowicza. Zaniosłem list... czemuż nie odnieść odpowiedzi? — Z ochotą!...

VIII.

Nazajutrz rano, ledwie świt zbudził mnie hałasem piekielnym Wichrowicz. Ledwie mi nie wywalił drzwi, zbił kawalerskie lusterko, a zauważywszy, że ramki na nic się nie przydadzą, wyrzucił je za okno, przyczem stracił mi oryginalną ropuchę, którą trzymałem w słoju w spirytusie. Tymczasem wypytał mnie o wszystko, uśmiechnął się, porwał za list, pożyczył odemnie czystej chustki do nosa, która leżała na komodzie, zapalił sobie mojemi siarniczkami cygaro, narobił kurzu i dymu z tytoniu i wybiegł. O nędzny Zefirynie, o przeklęty Rajmundzie! dałbym ci, ty elegancki Wichrowiczu, żebyś — nie był silniejszym odemnie!

I jeszcze pięć razy nosiłem do Przecznic co drugi dzień (dobre półtora mili) listy od Tekluni i napowrót odpowiedzi panny Barbary na ręce Zefiryna. Nie byłem więc wołem i nie pogniewałem się z Wichrowiczem. Za każdym razem panna Barbara stawała się coraz czerwieńszą i coraz łaskawszą. Niema nad noszenie cudzych listów!

Za siódmym razem nie zaniosłem listu od Tekluni. — Dlaczego? Oto tak się stało.

Jeśli młody człowiek pełen talentu i pracowity jak mało, a przytem matematyk niezgorszy, znajdzie nie jedno umieszczenie w charakterze korrepetytora, nie należy to wcale do okrzyczanych siedmiu cudów świata.

Otoż szczyciłem się i ja pod tym względem zaufaniem nie jednego szanownego papy i nie jednej czcigodnej mamy. A że ciotka moja wyżwspomniana adjunktowa z Ogónkiewiczów Piórkiewiczowa nie mało ma znajomości i cieszy się ogólnym szacunkiem, więc za jej łaskawą protekcją otrzymałem miejsce domowego preceptora u pani Fatalskiej, *primo voto* Pechowiczowej, wszechwładnej połowicy pana ex-komisarza na pensji i właścicielki trzech wiele obiecujących wyrostków. Mimo że Pepcio lizał ciągle usta, Nepcio gryzł paznokcie, a Fipcio dłubał bezustannie w nosku, uczyli się, jak na młodych Fatalskich nieźle, deklinowali *schola* — *scholae* na zawołanie przed gośćmi bez zająknienia. Za to miałem tam codziennie objad i trzy guldeny miesięcznie. Ale miejsza oto.

Otoż w tym zacnym domu siedzę punktum o trzeciej po objedzie właśnie przy lekcji, zatykając usta Pepciowi, trzymając za rękę Nepcia i ocierając nos Fipciowi, wszystkim zaś trzem kładąc w mózgownice wokatywy i ablatywy — gdy nagle...

O wszechmądra ręko wszechwładnego losu! Teraz dopiero odetchnąwszy po ciężkiej zmorze zazdrości przystawię tobie stołka nędzny Zefirynie Rajmundzie Wichrowiczu! Pomszczę się za zbite lusterko, wywrócony stół z ropuchą, za inkaustowane prześcieradło i nazdeptane tyle razy nagniotki... Teraz nauczę cię siadać między mną a panną Barbarą, nazywać mnie ułomkiem i całować ją w oba ramiona, półtora cala nad — nad obojczykiem... Drżyj niegodny! Godzina zemsty wybiła!

Siedzę więc, jak powiadam, przy lekcji, gdy nagle w pobocznym pokoju słyszę głos mamy dobrodziejki moich dyscypułów, jak wita się z przybyłym właśnie Wichrowiczem i jakąś młodą osóbką, której cienki nieznajomy mi głosik zdradzał białogłowę. Poczem zaczęła się rozmowa, cicha przez wzgląd na lekcję w sąsiednim pokoju. Ale co wśród szczekania Fidelka, szpica mamy dobrodziejki, miauczenia nieznośnej kotki faworytki, wrzaskliwego deklinowania trzech młodych łaciników i gwałtownej kłótni na dziedzińcu pana ex-komisarza z woźnicą — co mówię wśród tego chaosu uchem uchwycić zdołałem, dość było, by Wichrowicza zabić odrazu, jeśli jeszcze choć na krztę tylko zostawał w pamięci panny Barbary w Przecznicach. I tak: Wichrowicz mówił do nieznajomej — ty... Nieznajoma Wichrowicza nazywała — k o c h a n y m... Oboje śmieli się głośno... Oboje wymawiali po kilka razy nazwisko panny Barbary... A to źle panie Zefirynie, bardzo źle! — Obaczymy!

Wykrzyknąwszy zatem z Archimedesem: »eureka!« aż trzej moi malcy pospadali z krzeseł, rzuciłem się ku drzwiom; a jeśli ten uczony mąż i znakomity matematyk starożytności, odkrywszy w kąpieli prawo ciężkości, wyskoczył z wanny i uradowany zbiegał ulice miasta, *natabene* bez tużurka i pantalonów — cóż więc dziwnego pytam, że ja wydawszy za nim ów pamiętny okrzyk, poleciałem na skrzydłach miłości i matematyki bez kapelusza do domu, aby przygotować wszystko do pieszej podróży do Przecznic.

O panno Barbaro, nie oczekuj listu od Tekluni; ale spodziewaj się wiele złego po jej braciszku, niecnym Wichrowiczu!

IX.

— Ach drogi panie Szczęsny, kochany panie Szczęsny! jest list znowu, nieprawdaż? — zawołała panna Barbara, ujrzawszy mnie już zdala przy owym fatalnym płocie, i wybiegłszy naprzeciw mnie.

O panno Barbaro (pomyślałem sobie w duszy) tym razem zawiodłaś się srodze!

— Dawaj że go, panie Szczęsny, ja tak niecierpliwie czekałam! — powtórzyła z gorączkowem oczekiwaniem.

Mój Boże (pomyślałem sobie dalej w duszy) jak ona kochać musi tę Teklunię w konwikcie, we Lwowie!

Ale ona nie mogła wiedzieć, co sobie pomyślałem w duszy, i krzyknęła:

— Jakto... pan milczysz? Miałożby się stać m u co złego? — i zbladła...

M u? — Co znaczy to m u?... Miałażby o m n i e mówić przez trzecią osobę?... Jestto sposób w dyplomatycznych stosunkach nader trafny i używany, lecz w Przecznicach, między gnojówką a płotem, do mnie, z ust panny Barbary... Co znaczy to m u?

— Na Boga? Więc chory! O, ja nieszczęśliwa!... — i znowu zbladła...

Ja zarumieniłem się, i pomyślałem sobie w duszy: Jakto? O mnie mowa, a ja stoję właśnie przed nią o pół kroku, z czapką w ręku (kapelusz zostawiłem wówczas u Fatalskich), w zakurzonych butach i obielonym tużurku, ja, ze zdrowym rumieńcem na spotniałej twarzy? — Odważyłem się zapytać: o kim mówi? a w sercu czułem jakby mi kto wyciągał pierwiastki.

— Alež on, on, Zefiryn!

Ha! — Więc ona przecie o niego pytała! Ale prawda; jeśli on chory, nie może mi doręczyć listu Tekluni, z czego wypływa, że zdrowie Wichrowicza obchodzić ją musi. Trochę przyszedłem do siebie. Mimo to, przeklęty Zefirynie, zemsta moja cię nie minie!

— Panno Barbaro — wyrzekłem traicznie — i urwałem...

Znowu zbladła...

A propos traiczności! — Raz tylko byłem w życiu w teatrze, i to w teatrze wędrującym, który nie minął i naszego miasteczka. W rozwalonej budzie rzeźnika rozgościła się dobrana trupa, składająca się z pana dyrektora, pierwszego czarnego charakteru; pani dyrektorowej, pierwszej bohaterki; panny dyrektorównej pierwszej amantki, potem z pierwszego kochanka, który zarazem był kuchmistrzem wędrującej instytucji, i nakoniec z pierwszego komika, który zarazem pełnił służbę biletera, suflera i maszynisty.

Było to w niedzielę. Ze względu na tę uroczystość grano Z b ó j c ó w, czy tam R o z b ó j n i k ó w; mniejsza zresztą o tytuł! — Ach, jakaż to okropna sztuka! Widziałem jak kobiety mdlały, kiedy Franciszek pokazał się na scenie. Tylko tego nie pojmuję, dlaczego Franciszek, który był z niemiecka Moorem, a to tyle znaczy, co m u r z y n e m (bo to sztuka z niemieckiego tłumaczona) i mimo że grał tak zwany c z a r n y charakter, wyszedł na scenę jakby go kto kredą pomazał; tylko nos grzeszył trochę czerwieńszym kolorytem. — Może to był zresztą jaki z a g r a n i c z n y murzyn! Tak bowiem udecydowali po długiej debacie *pro* i *contra*: pan adjunkt i pani pocztmistrzowa i panowie dyurniści i pani sędzina i pan ex-komisarz i panny woźnianki. Ale mniejsza oto!

Najsilniej utkwiła mi w pamięci scena, gdzie Franciszek w ogrodzie wykraść chce swoją kochankę i prosi ją do siebie na objad, a ona Bóg wie dla czego, wyrywa mu z pochwy puginał i krzyczy, o ile pamiętam: »Jedz sam, albo cię przebiję!« — Wszyscy widzowie potracili głowy... przerażenie i zgroza tamowały oddech. Żeby Franciszek nie był uciekł w krzaki, byłaby go pewnie przebiła!

O kobiety! — O Tekluniu z męzkim charakterem!

Szczególnie dobrze wydał się tu sam pan Dyrektor w roli Franciszka: mały, gruby, pękaty, ze wzburzonym rudym włosem, z tabaką w nosie, w pantoflach i kutasowym fezie, w końcu z olbrzymim puginałem za pasem. Starszny był to widok, gdy ciągnął za włosy swoją Dulcyneę, panią dyrektorową suchą, długą, jasnokościstą, i wyższą od niego o półtora głowy. — Patrząc na suflera cedził słowo po słowie, zapewne dla tem silniejszego nacisku.

Podobnież i ja chciałem przerazić pannę Barbarę... chciałem powolnemi słowy wygasić w niej wszelkie wspomnienie nienawistnego Wichrowicza.

Wysunąłem więc prawą nogę naprzód, lewą skurczyłem, jak ongi na scenie pan dyrektor, prawą rękę wsadziłem do kieszeni u pantalonów, a lewą wyciągnąłem jak strunę, głowę pochyliłem w tył, a brzuch wypiąłem naprzód, i zacząłem dobitnie i przejmującym głosem:

— Panno Barbaro! (C. d. n.)

Rozmaitości.

* Pan Rycharski napisał Literaturę Polską w dwóch tomach; tymczasem krytyka dowiodła, że dzieło to jest prostym tylko zlepkiem ustępów z najrozmaitszych książek, często zupełnie bez sensu zestawionych ze sobą.

O, ta d z i k a l i t e r a t u r a!...

Jak przewidywaliśmy, „Przyjaciel Ludu“ jest nieodrodnym synem „Przyjaciela Domowego,“ gdyż, jak tamten, niemal w całości jest przedrukiem rozmaitych kalendarzów.

Że podobne p a s o ż y t y piśmienne są cierpianemi w społeczeństwie — smutnie to świadczy o nas!

Gdy nie mamy odnośnego paragrafu, któryby surowo karał podobnego rodzaju spekulacje, obliczone na dobrą wiarę czytelników — to mamy prawo żądać od pana wydawcy, by wyrażał pod każdym artykułem swego pisma: zkąd jest przedrukowanym?

Od pisma wymagamy by jakąś korzyść przynosiło ogółowi — „Przyjaciele" zaś, zapełniani przedrukami, dają może lekki chleb panu wydawcy . . . Potępiamy kukułkę, która z cudzego gniazda korzysta, potępiamy wyrobnika, gdy za pieniądze daje nam zły wyrób — nie wahamy się potępić i wydawnictwa „Przyjaciela Ludu," który raczej jest nieprzyjacielem jego, bo żywot swój czerpie z nieprawego źródła. Dość obojętnego przypatrywania się frymarkom! Albo pracujmy dla dobra literatury, starajmy się o jej wzrost, albo, gdy sił potemu nie mamy... nie żyjmy cudzym kosztem!

* Rząd zatwierdził statuta Towarzystwa literackiego we Lwowie, które też niebawem ukonstytuuje się.

* P. Tepa pracuje nad portretem zmarłego Grottgera, a p. Filippi nad popiersiem K. Szajnochy, podług maski pośmiertnej, zdjętej nazajutrz po zgonie.

* P. Henryk Szmit przygotowuje do druku czterotomową monografię: „Panowanie Stanisława Augusta."

* P. Alojzy Szembera, profesor literatury czeskiej na uniwersytecie wiedeńskim wydał w Wiedniu w drukarni Mehitarzystów, uczone dzieło o Słowianach zachodnich w czasach przedchrześcijańskich pod tytułem: „Zapadni Slavené w pravéku."

* Autorka *Złotego runa* napisała nową komedję p. t. *Maminy synek.*

* Czesi z wielu względów mogą nam posłużyć za dobry przykład do naśladowania. Przypatrzmy się ich życiu niemal pod każdym względem, a przekonamy się jak wiele jeszcze zostaje do życzenia, byśmy mieli to u siebie, co mają nasi bracia... Że tu uwagę zwrócimy na wydawnictwo pism ilustrowanych. W Pradze wychodzi czeskie pismo „Kwiaty" tygodniowo w wielkim formacie, na papierze wełnowym, z drzeworytami nie ustępującymi zagranicznym — za roczną cenę 7 złr. 20 ct.! Gdybyśmy chcieli podobne pismo wydawać w Galicji, roczna jego cena nie mołgaby być niższą jak 15 złr. i to jeszcze wtedy, gdyby miało taką liczbę prenumeratorów, ile ich mają razem wzięte wszystkie pisma literackie lwowskie.

* Niedawno rozstał się z światem po długich cierpieniach poeta niemiecki Juljusz Mosen. Nazwisko jego mało u nas znane zasługuje na sympatyczne wspomnienie w sercu każdego Polaka. Jest on twórcą wielu pieśni, z których tchnie żywe przejęcie się sprawą naszego narodu. Między innemi utworami jego w tym rodzaju wspomniemy tu tylko pieśń: „Bei Warschau schwuren Tausend auf den Knieen." Wielką część współudziału i przychylności w przyjęciu jakiego doznali bracia nasi na tułactwie w Niemczech, zawdzięczamy gorącym pieśniom tego poety. Beletrystyczny niemiecki dziennik „Gartenlaube" poświęca mu wspomnienie pośmiertne i umieszcza rycinę, na której wizerunek zmarłego otaczają wiarusy polscy z sztandarami i innemi godłami.

* Rozgłośny jest obecnie w Paryżu proces margrabi de Maubreuil. Człowiek ten był ajentem, emisarjuszem i sztyletnikiem Restauracji głosił wtedy, że się podjął uwolnić Francją od Napoleona, a kontentował się tem, że w bulońskim lasku uchodzącą królowę westfalską uwolnił od ciężkiego bagażu zawierającego kosztowności za 84.000 fr.; dziś starzec poważny pobiera 2500 fr. pensji z kalety cesarskiej. Przechodził różne koleje. On to w roku 1814 krzyż legii honorowej przywiązał koniowi do ogona i włóczył go po błocie, przysięgał że nigdy Bonaparte francuzkiej się nie tknie ziemi, i zakładał powróz na szyję posągu Napoleona na placu Vendome chcąc go zrzucić. Potem po różnych przygodach, nawet za złodziejstwo był skazany, a r. 1827 w St. Denis Taleyrandowi, ministrowi, współzawodnikowi i wspólnikowi swemu publicznie taki wyciął policzek, że stary dyplomata pierwszy raz z nóg ścięty runął na ziemię, a dezawując policzek zawołał: „Co za pięść!" Sprawca tego wszystkiego a może i gorszych rzeczy r. 1855 w biografii Didota już pogrzebany, żyje dotąd na przedmieściu St. Honoré i na puchach milionów które mu w 83 roku zaślubiona wniosła małżonka, pod nazwą Madame Labruyére głosna Katarzyna Schumacher, córka ubogiego dorożkarza. Rodzice jej oboje starzy i chorzy żyją w ostatniej nędzy, i zanieśli na córkę i zięcia teraz skargę o pensją, bo córka wyrodna, z milionowej fortuny podejrzanego w prawdzie pochodzenia, grosza im dać nie chce na utrzymanie.

* W Żytomierzu nakładem Budkiewicza wyszły „Śpiewy i dumki" na fortepian, pisane do słów Grozy, Pola, Mickiewicza przez p. Borozdina. Czy moskala?... Byłby to dowód nielada odwagi dobierać w tym czasie russkiemu muzykę do utworów polskich! Kompozytor z wielką łatwością mógłby się znaleść nad Amurem, jeżeli nie w Nerczyńsku.

* Propaganda moskiewska coraz to szersze rozmiary przybiera pomiędzy Słowakami. Tak, redaktor „Pestbudinskich wiadomości" zamierza wydawać miesięczne pismo dla ludu p. t. „Słowak," którego cena roczna będzie wynosić sześćdziesiąt (!) krajcarów. Ta niepraktykowanie nizka cena daje wiele do myślenia.

* P. H. Richter, wydawca „Strzechy" zamierza przystąpić do wydawania Biblioteki narodowej obejmującej dzieła najznakomitszych naszych pisarzy. Pytanie: czy będzie to wydawnictwo rzeczywiste, czy też spekulacja księgarska? o czem przekona nas samo wydawnictwo.

* Ze składek dobrowolnych ma być wzniesionym w Oksfordzie pomnik dla Adama Smitha.

* Nowy dziennik artystyczno-literacki, p. t. „L' Ami des Arts," zaczął z Nowym rokiem wychodzić w Paryżu pod redakcją pp. Bronisława Wołowskiego i Henryka Maret. Zajmuje się literaturą, sztukami pięknemi i t. d. Dziennik ten ma stałego korespondenta we Lwowie. Wiele znakomitości dziennikarskich Paryża przyjmuje udział w wydawnictwie.

* Teatr serbski w Nowym Sadzie otrzymał roczną subwencję w kwocie 15.000 złr.

* We Francji umarł znany pejzażysta Teodor Rousseau. Pochować się kazał w lasku Fontenebleau, w miejscu które, bardzo lubił za życia.

* W Solnogrodzie postawiono pomnik dla Szillera.

* Okolice Gangesu nawiedzane bywają niekiedy tak strasznym wichrem, a właściwie trąbą powietrzną, że jak w roku 1864 w październiku okręty z portu Kalkuty rzucone zostały w miasto, i tysiące domów, a więcej jeszcze ludzi zginęło. Znów w nocy 1. listopada z. r. taka burza nawiedziła Kalkutę i okolicę dolnego Gangesu. Zniweczyła zbiory ryżu, wywróciła około 30.000 chat i wiele domów murowanych, a około tysiąca ludzi zginęło zabitych i zatopionych. Statków zginęło około 600, a nawet kilka wielkich okrętów. W porcie wielkie szkody zrządziła burza przez zniszczenie grobel.

* We Francji w departemencie Finisterre zachowała się dziwnie praktyczna moda, którą nie zaszkodziłoby wyprowadzić na widownię szerszą. Tameczne dziewczęta noszą u sukni złote i srebrne taśmy, oznaczające summy ich posagu: taśma złota oznacza 1000, a srebrna 100 franków posagu. W skutek takiej otwartości nie bywa tam zawodu po ślubie, bo każden widzi co bierze.

* W Wiedniu przygotowują się na zjazd wszystkich niemieckich Towarzystw strzeleckich, który się odbyć ma w maju roku bieżącego. Zjazd ten będzie demonstracją, którą austrjaccy niemcy zamierzają udowodnić wspólność swoją z niemcami Rzeszy.

* (Teatr). We środę dnia 29. z. m., na dochód p. Szymańskiego przedstawiono po raz pierwszy komedję w pięciu aktach p. Witołda Borkowskiego p. t. *Stosunki rodzinne.* Utwor p. B. nie odznacza się niczem, i na repertoarzu utrzymać się nie zdoła.

Gra artystów była staranną.

Korespondencja Redakcji.

W. Pani B... w Przemyślanach. Omyłką, zamiast do Przemyślan, posłano numera do Pomorzan. — Przepraszamy.

W. P. H... M... w Baryłowie. Dzięki. Prosimy o dotrzymanie obietnicy.

Dodatek: Do Nr. 13. „Chychotka;" do 14. „Kroje z opisem."

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.